

BRALCZYK

W ROZMOWIE

MIODEK

Z JERZYM SOSNOWSKIM

MARKOWSKI

WSZYSTKO ZALEŻY OD PRZYIMKA

 Biblioteka
Gazety
Wyborczej

WSZYSTKO ZALEŻY OD PRZYIMKA

**BRALCZYK
MIODEK
MARKOWSKI**

W ROZMOWIE Z JERZYM SOSNOWSKIM

REDAKTOR
Paweł Goźliński

KOREKTA
Teresa Kruszona

PROJEKT OKŁADKI I OPRACOWANIE GRAFICZNE
Przemek Dębowski i Wojtek Kwiecień-Janikowski

ZDJĘCIE NA OKŁADCE
Michał Mutor / Agencja Gazeta

PRODUCENCI WYDAWNICZY
Małgorzata Skowrońska, Robert Kijak

KOORDYNACJA PROJEKTU
Magdalena Kosińska

WYDAWCA
Agora SA
ul. Czerska 8/10
00-732 Warszawa
www.wydawnictwoagora.pl

©copyright by Jerzy Bralczyk
©copyright by Jan Miodek
©copyright by Andrzej Markowski
©copyright by Jerzy Sosnowski
©copyright by Agora SA 2014

Wszelkie prawa zastrzeżone
Warszawa 2014
ISBN: 978-83-268-1308-5

DRUK
Drukarnia Perfekt

WSZYSTKO ZALEŻY OD PRZYIMKA

4	Wstęp
10	Etykieta i netykieta z przecinkiem w tle
54	Dlaczego nie lubimy mówić o wulgaryzmach
66	Ja się deklinuję!
88	Język w służbie reklamy
106	Do you speak Polish?
128	Ja panu nie przerywałem
138	Polewka z suchara
156	Dżender ministry
178	Polityczny z waści kawaler...
198	To żyje!
214	Poderwać białogłowę
230	Jak uczyć i po co uczyć
264	Między Szczekocinami a Mszczonowem, czyli za co kochamy język polski



WSTĘP

„Zebrali się trzech uczonych mężów, a że o rodzimej polszczyźnie naszej pogwarzyć pragnęli, doprosili mnie do kompanii, bym czas z nimi wesoło spędzając, konwersację ich moderował”...

No nie, w taki sposób z całą pewnością wystraszyłbym Szanownych Czytelników, a i sam czuję dreszcz grozy na myśl o pisaniu w tym stylu przez kilka stron. Więc inaczej, na luzie:

„Trzej fachowi goście namówili się, że chcą pogadać o języku Polaków. Zadzwonili do mnie, że będzie miło, tylko żebym z nimi usiadł i wykombinował pytania”...

Może to odrobinę wygodniejsze w pisaniu, ale jakaś nieprzyjemna kokieteria się zakradła. W dodatku z profesorem Jerzym Bralczykiem i profesorem Andrzejem Markowskim jestem od pewnego czasu po imieniu, profesor Jan Miodek zaproponował mi przejście na ty na początku pracy nad książką, ale to nie powód, żeby określać ich familiarnym słowem „goście”. Więc może całkiem inaczej, w stylu informacyjnym:

„Trzej badacze polszczyzny, znani z radia i telewizji, postanowili wymienić poglądy na temat kultury języka polskiego.

Zaproponowali, żebym to ja spędził z nimi trochę czasu i poprowadził ten potrójny wywiad rzekę”...

Niby całkiem nieźle, ale o ile pierwsze zdanie jest na granicy żartu z oficjalnego języka mediów, o tyle drugie wprowadza ton osobisty, bo to mnie się przydarzyło. W rezultacie wychodzi jakiś stylistyczny zgrzyt, nie za mocny, ale jednak. Powiedzmy: nieprzyjemny zgrzytek. Zgrzyciątko. Więc jeszcze inaczej:

„Trzej językoznawcy, od dawna znani jako popularyzatorzy kultury języka, wymyślili, że wspólnie napiszą, a właściwie... powiedzą tę książkę. Chcieli podyskutować o tym, jak dziś mówimy i jak moglibyśmy mówić po polsku. A ponieważ ktoś musiał zapanować nad przebiegiem rozmowy, pomyśleli o mnie. Odbiliśmy kilka miłych spotkań, których owoc trzymają Państwo w ręku”...

...I tak można by ciągnąć te próby, bo po godzinach spędzonych w towarzystwie tria Bralczyk, Markowski & Miodek dostrzega się silniej niż na co dzień rozmaite rejestry, w których można mówić. Ale z drugiej strony moi Znakomici Rozmówcy sugerują w tej książce, że mówienie powinno być naturalne; rozwijanie świadomości, jak różnorodne warianty otwiera przed nami polszczyzna, przypomina raczej trening, przygotowanie do meczu – lecz gdy otwierasz usta, wówczas jakbyś słyszał gwizdek sędziego i grasz, a nie dumasz w rogu boiska nad możliwościami taktycznymi. Więc zakładając, że niniejszy wstęp już zacząłem (przecież próbowałem cztery razy!), opowiem lepiej, z kim przyszło mi rozmawiać o kulturze języka. Alfabetycznie:

Profesor Jerzy Bralczyk – urodzony w 1947 roku, specjalista od języka mediów, reklamy i polityki. „Chciałem być dziennikarzem – opowiadał podczas naszych spotkań. – Studia polonistyczne wybrałem trochę z wygody, z poczucia tego, że to będzie najłatwiejsze, najbardziej normalne, a jednocześnie najmniej determinujące mnie jeszcze, bo po studiach polonistycznych można robić różne rzeczy”. Tymczasem na pierwszym roku zafascynował się trzema przedmiotami: logiką, łaciną oraz językiem starocerkiewnośłowiańskim (większość absolwentów filologii polskiej w tym momencie wytrzeszczy oczy ze zdziwienia, bo tzw. scs uchodził wśród studentów zawsze, z całym szacunkiem dla nauczycieli tego przedmiotu, za kurs wyjątkowo niewdzięczny – wyrażam się bardzo oględnie). Natomiast pod koniec studiów wydawało mu się, że poświęci się językoznawstwu matematycznemu jako dyscyplinie „twardej”, niezawierającej charakterystycznych dla humanistyki wyrażen typu „być może”, „albo – albo”... Od zamiaru tego jednak odstąpił.

Dziś o profesorze Bralczyku mówi się po prostu „Bralczyk”, a ludzie, którzy są z nim po imieniu, nieraz mówią do niego per „Bralczyku”, co profesor przyjmuje (mam wrażenie) z niejaką satysfakcją,

ponieważ – jak przypuszczam – słyszy, że ta forma wyraża intuicję, iż jest tylko jeden taki Bralczyk na świecie, i to właśnie on. Z pamięci wygłasza olbrzymie fragmenty „Pana Tadeusza” – istnieje hipoteza, że zna na pamięć całość – a zmęczony wyostrza swój dowcip i wtedy trzeba się mieć na baczności, co parokrotnie sprawdziłem i czego ślady znajdują Państwo w tej książce. Jest wiceprzewodniczącym Rady Języka Polskiego, autorem wielu książek, audycji telewizyjnych i radiowych.

Profesor Andrzej Markowski – urodzony w 1948 roku, specjalista od semantyki i leksykografii. Zapytany o swoje polonistyczne początki powiedział tak: „W szkole średniej chciałem być albo poetą, albo aktorem, ale jakoś mi to nie wychodziło za bardzo. I trochę miałem zdolności historycznych, miałem wychowawczynię, która była historyczką, ale ona powiedziała mi: »Andrzej, nie idź na historię, bo w tej chwili historii nie można uprawiać rzetelnie«. To był rok 1965. Wybrałem więc polonistykę, bo... pisałem wiersze”. A tam zetknął się na zajęciach z gramatyki opisowej i z kultury języka z docent Haliną Kurkowską, u której (podobnie jak Bralczyk) napisał pracę magisterską i doktorat i którą uważa (znow podobnie jak Bralczyk) za swoją mistrzynię.

Profesor Markowski jest baaardzo wysoki, zawsze elegancki i subtelny w obęjsiu, jakby trochę wycofany (po wielu godzinach spędzonych razem wciąż nie umiem sobie wyobrazić, żeby wpadł w gniew, ale dawno temu słyszałem, że to możliwe). Jest przewodniczącym Rady Języka Polskiego, autorem licznych książek, w tym słowników, m.in.: „Nowego słownika poprawnej polszczyzny PWN”, o którym wspomina się w naszych rozmowach, a także autorem audycji telewizyjnych i radiowych, za które w 2010 roku wyróżniono go Honorowym Złotym Mikrofonem. Często jeździ z wykładami dla nauczycieli, którym stara się doradzić, jak sprawić, by pod hasłem „język polski” w szkołach odbywały się lekcje z języka polskiego, nie tylko z literatury, i ponadto – by były ciekawe.

Profesor Jan Miodek – urodzony w 1946 roku, specjalista od kultury języka, pochodzący – w odróżnieniu od poprzednich dwóch „środkowopolskich” moich Rozmówców – ze Śląska. To dla niego bardzo ważne: „Dom był nauczycielski, inteligencki – wspominał. – Matka nie była Ślązaczka, więc oczywiście mówiliśmy tylko polszczyzną literacką. Ale były to lata czterdzieste, pięćdziesiąte w Tarnowskich Górach, więc z kolegami rozmawiałem tylko gwarą. I jeśli ja dzisiaj tu z Andrzejem i z Jurkiem mówię o fascynacji wariantowością [czyli rozmaitymi możliwościami wyrażenia tego samego], to mnie się ta fascynacja zaczęła w czwartym albo piątym roku życia. Do mamy i do taty mówię jedną polszczyzną, a po wyjściu z domu rodzinnego mówię polszczyzną drugą. I jeszcze do tego na studiach przeżyłem

pewien kryzys historycznoliteracki – ta opętańcza lista lektur, które trzeba było przeczytać. Szło się do Ossolineum i brało się z półki po dwadzieścia książek... trochę mi to obrzydło”. A że trafił na doktora Franciszka Nieckulę, wspańskiego nauczyciela językoznawstwa, poświęcił się właśnie tej dziedzinie.

Profesora Jana Miodka znałem – oczywiście, jak wszyscy – z telewizji (jest on laureatem Superwiktor, którego otrzymał w 1998 roku za całokształt twórczości), a spotkałem się z nim osobiście dopiero podczas pracy nad tą książką. Uderzyło mnie ciepło, bezpośredniość i autoironia profesora: zachwylił mnie uwagą, że ze względu na charakterystyczny gest dłonią wykonywany zawsze, gdy coś tłumaczy słuchaczom, nazywają go specjalistą od wkręcania żarówek. Jest członkiem Rady Języka Polskiego i dyrektorem Instytutu Filologii Polskiej Uniwersytetu Wrocławskiego, a poza tym – kibicem Ruchu Chorzów.

Ci więc profesorowie postawili przede mną zadanie prowadzenia rozmowy, podsuwania tematów i zapanowania nad ich, że tak to wyrażę, krasomówczą swadą. To ostatnie – przyznam samokrytycznie – nie zawsze się udawało... Tematem naszych spotkań była *kultura języka*, przy czym chodziło nie tyle o surowy kodeks, jakich błędów należy się wystrzegać, ile o pokazanie, jakie możliwości stwarza mówienie po polsku; możliwości, które bywają pokusami, ale stanowią też szansę. Niech przesłanie tej książki wyrazi fragment naszej pierwszej rozmowy, w której namawialiśmy się dopiero, o czym ona ma być. Mówi Bralczyk:

– Sprawy poprawności i kultura języka, którymi się zajmujemy, uchodzą za miękkie podbrzusze językoznawstwa, czyli coś, co nie jest ustabilizowane. A my chcemy właśnie rozmawiać o rzeczach, które nie są do końca ustalone.

– Bo jest to coś – wpada mu w słowo Markowski – co w pewnym sensie zależy od interpretacji. Jerzy [to o mnie] powiedział, że będziemy dyskutowali o poprawnej polszczyźnie, a ja bym chciał, abyśmy dyskutowali o polszczyźnie w ogóle. Żebyśmy brali pod uwagę nie tylko aspekt poprawnościowy: dobrze – źle, lepiej – gorzej, ale żeby mówić też o tym, jak jest rzeczywiście, o tym, jakie są tendencje.

– Naszą zgorą – Miodek na to – są tak często używane przez naszych odbiorców słowa: „życzę powodzenia w walce!”. A ja nigdy o nic nie walczyłem... Natomiast moją obsesją zawodową (myślę, że pozytywną) jest, żeby odsłaniać ludziom mechanizmy, które ich, mówiących przecież perfekty po polsku, skłaniają jednak do pewnej refleksji, przynajmniej raz na tydzień.

Bralczyk gładzi swoją brodę i dodaje ironicznie:

– Ta cała metaforyka walki: my „się borykamy”, my „musimy dawać sobie radę”... My jesteśmy tymi, którzy się borykają, ale i inni,

ci, którzy popełniają błędy, także walczą. I walczą niekoniecznie z polszczyzną, przeciw tej polszczyźnie, oni chcą walczyć także o coś. Tak jak kiedyś walczyliśmy o...

– O pokój! – dokończył za niego Miodek.

– Tak, o pokój chociażby. I teraz musimy walczyć o język. A ciągle za mało zwraca się uwagę na to, ile język może dostarczyć nam radości. I o tym też chciałbym porozmawiać.

– O właśnie! – zaciera ręce Markowski.

Jaką radość może dawać język? W pierwszej chwili przychodzi na myśl narcystyczne upodobanie do swojego głosu, upajanie się własną swadą i zniewalającą (jakoby) siłą naszej mądrości. Ale tak naprawdę frajda (satysfakcja?, przyjemność?, rozkosz?, dreszczyk pozytywnej emocji?) kryje się w czym innym. Moi Rozmówcy używają w pewnej chwili określenia „radość komunikacyjna”. Możemy bowiem oczywiście porozumiewać się nieporządnie, licząc na domysłność słuchacza: „weź ten w to, no!” – mrukniemy, instalując ze szwagrem jakieś urządzenie, i niewykluczone, że w danej chwili taki sygnał wystarczy. Ale język stanowi instrument, który pozwala na wyrażenie siebie z dowolną precyzją. Na oddanie niuansów każdej (lub prawie każdej) sytuacji. Na porozumienie się z rozmówcą w najrozmaitszych rejestrach. Cieszę się na coś czy z czegoś? Ktoś mnie zirytował, zbulwersował, rozgniewał, wkurzył? Płyta zespołu X mi się podoba, zachwyca mnie, zniewala, oszałamia, a może mnie kręci, tarza, rajcuje? Wolę rozmawiać face to face, tête-à-tête czy twarzą w twarz (i jak to wpływa na mój portret w oczach bliźniego)? Znajomy ma psa, pieska, psinę czy psinkę? A kiedy oglądałem mecz, to piłka jest na boisku, w boisku, a może wyszła za lub poza boisko, podano ją przez boisko czy w poprzek boiska (w tym zdaniu właśnie zjawiają się przyimki z tytułu naszej książki)?

I jeszcze inna seria pytań, bo nie tylko ja mówię językiem, ale sam język mówi do mnie (o tym, co przeżywały minione pokolenia): skąd się wzięła niepewność, czy członkowie zespołu The Beatles to bitelsi czy bitlesi? Czemu odmieniamy wróbel – wróbla (a nie „wróbela”), choć odmieniamy fotel – fotela (a nie „fotla”)? I jakim cudem słowo „samolot” jest znacznie starsze niż samolot?

– ... Ile to może nam dać przyjemności! – kończy swoją kwestię Bralczyk. A Miodek się rozmarza:

– I mówienie o nim też jest przyjemne...

Mam nadzieję, że przyjemne będzie też czytanie o języku. Zaczynamy!

ETYKIETA I NETYKIETA Z PRZECINKIEM W TŁE

Bralczyk

Kiedy wymyślono telefon komórkowy, zaczęliśmy więcej rozmawiać, ale esemesy sprawiły, że znów zaczynamy więcej pisać.

Markowski

Jak ktoś jest, że tak powiem, chamek w rzeczywistości pozasieciowej, to i w postach taki będzie.

Miodek

Esesesy są za krótkie dla profesorów. Oni wolą się rozpisać.

Sosnowski

Zacznijmy od nowego, ale już teraz gigantycznego tematu: języka w sieci. I od uporu mojego komputera, który, kiedy piszę „internet”, konsekwentnie poprawia mi małą literę na wielką.

Bralczyk

No i ma trochę racji, to jest nazwa własna. Ja konsekwentnie pisałem Internet wielką literą i zostało mi to do tej pory. Uważam jednak, że po jakimś czasie ten cały Internet się spospolituje.

Miodek

Ustalenie ortograficzne jest proste: jeśli mowa o międzynarodowej sieci, to duża litera – Internet, a to, co mamy w domu, mała – internet.

Bralczyk

Ale wydaje mi się, że mała litera ostatecznie zwycięży, tak jak to często bywało z nazwami własnymi.

Markowski

Jak z walkmanem, aspiryną...

Bralczyk

I z różnymi adidasami.

- Markowski** Już dziś „poszukaj w internecie” napisałbym małą literą.
- Bralczyk** Więc szukałbyś „w” internecie? Czasami pytają mnie ludzie, czy w internecie, czy na internecie.
- Miodek** W! Ja szukam – w!
- Bralczyk** No bo sieć to sieć – w sieci się szuka, a nie na sieci.
- Miodek** Natomiast jeśli chodzi o mnie, to łąpię się na tym, że wracam z pracy do domu i już się cieszę na włączenie internetu. Jestem chyba trochę uzależniony.
- Markowski** Ja też.
- Miodek** Nawet po przyjściu z teatru, kina czy imienin potrafię o pierwszej w nocy włączyć internet, choć najczęściej jako kibic, aby zobaczyć, jak grał Ruch Chorzów, bo bym do rana nie wytrzymał nerwowo, muszę wiedzieć od razu...
- Internet pełni dziś u mnie w domu funkcję Studia S13 oraz radiowej audycji „Z mikrofonem po boisku”, kiedy łączono się ze wszystkimi stadionami. W sobotnie popołudnie jestem w Monachium, w Manchesterze, w Amsterdamie i na bieżąco mam wyniki wszystkich meczów. Z tego powodu także nie mógłbym bez internetu żyć.
- Markowski** A żona nie reaguje? Bo jak ja wieczorem włączam komputer, to moja żona...
- ... wyraża dezaprobatę.
- Markowski** Właśnie.
- Miodek** Nie, moja nie. Ona też internet lubi.
- To porozmawiajmy teraz o grzeczności w sieci, czyli... o netykiecie?
- Markowski** To już jest termin na to? Niepolski.
- Bralczyk** Na początku to był żart, bo jednak jest to kalamburowe słowo, skrzyżowanie netu (sieci) z etykietą. A to, że net kończy się tak, jak etykieta zaczyna, do takich żartów prowokuje.

Miodek Z takich skrzyżowań powstało bardzo wiele wyrazów. Jeśli dziś chwytasz coś, to jest to rezultat zaślubin chwatania z chytaniem. Na Śląsku do dziś mówi się: „chytej to!”.

Markowski A pstrokaty jest skrzyżowaniem srokatego i pstrego.

Miodek A bajoro skrzyżowaniem bagna z jeziorem.

Bralczyk I wiele jeszcze mamy takich skrzyżowań, a netykieta jest jednym z nich.

Czyli netykieta jako słowo jest usprawiedliwiona.

Główne pola kontaktów międzyludzkich w internecie to, poza grami komputerowymi, mejle i posty (celowo używam tej netowej terminologii) w portalach internetowych.

Miodek Oczywiście ubolewam, że w epoce internetu zakończyła się klasyczna epistolografia, że ze skrzynki pocztowej wylatują tylko koperty z wydrukami bankowymi, a gdzie są listy od kolegów, ciotek, babć? Ale jednocześnie jestem już tak nastawiony, że mejl to ta szybka, ta skrótowa forma komunikacji, że jeśli, otwierając korespondencję mejlową, widzę długi tekst, to...

Ja lubię trzy-cztery linijki i już. Ale czasami się otwierają trzy-cztery strony, bo mam wśród znajomych tradycjonalistów... Więc powiem wam, że działa mi to na nerwy. Chcesz, to napisz mi tradycyjny długi list, ale mejl powinien być krótki.

Z drugiej strony przecież nie zostawię człowieka z nieodpisanym listem...

Mejlem.

Miodek Przepraszam – mejlem... Ale manifestacyjnie na ciągnące się mejle odpowiadam dwulinijkowo albo trzylinijkowo.

Bralczyk Inna sprawa, że dzięki mejlom i esemesom znów zaczęliśmy pisać...

Markowski Oczywiście! Polacy znów zaczęli pisać!

Miodek Świat zaczął pisać.

Bralczyk Kiedy wymyślono telefon komórkowy, zaczęliśmy więcej rozmawiać, ale esemesy sprawiły, że znów zaczynamy więcej pisać. Jedno przebija drugie. W pewnym momencie te drogi się przetną – powiem coś i to będzie zaraz zapisane. Ktoś mi coś napisze, a ja to zaraz usłyszę. To już się właściwie dzieje.

Ale w tym naszym rozpisaniu ilość nie przechodzi w jakość. Czy to nasze internetowo-esemesowe pisanie się kiedyś wyszlifuje?

Markowski Wyszlifuje się z pewnością, więc nie należy za dużo ingerować. Ale oczywiście, ponieważ wszyscy zaczęli nagle pisać, nie może to być od razu pisarstwo na poziomie...

...Prousta.

Markowski ...Prusa.

Bralczyk Zwykła probabilistyka mówi nam, że będzie o wiele, wiele więcej głupich i grafomańskich tekstów, ale też trochę więcej arcydzieł.

Miodek Czego doświadczamy.

Markowski I będzie początkowo o wiele więcej błędów. Część z tych błędów przestanie być błędami, bo się upowszechnią i wejdą do normy, a część się rozmyje i nie przetrwa.

Bralczyk Ale jesteśmy ostatni, którzy by powstrzymywali od pisania. Niech piszą.

Markowski Oczywiście! Pisać każdy może.

Miodek Każdy dziś książkę może wydać.

Bralczyk A nawet wypowiedzieć książkę, jak my.

Wygląda jednak na to, że teoretycznie oczywiste przeniesienie zasad grzeczności z epistolografii do sieci się nie powiodło.

Miodek Przeczytałem bardzo ciekawy artykuł napisany przez specjalistkę od rzeczywistości wirtualnej. Ta kobieta, niewątpliwie dwa razy ode mnie młodsza, wyraziła myśl, którą i ty, Jurku, wyraziłeś: **Cóż stoi na przeszkodzie, żeby przenieść „szanowny panie doktorze”, „z wyrazami szacunku”, „serdecznie pozdrawiam” itd. do internetu? Czy naprawdę musi tam straszyć „witam”, „witaj”?**

Markowski Ale jak ktoś jest, że tak powiem, chamem w rzeczywistości pozasieciowej, to i w postach taki będzie.

Bralczyk Pytanie, które stawiasz, dotyczy tak naprawdę pewnego wyboru: czy w internecie rozmawiamy ze sobą, czy piszemy do siebie. A pisząc i mówiąc,

zajmujemy trochę inną postawę – i wobec tekstu, i wobec naszego interlokutora czy korespondenta. Ja w internecie piszę i dlatego stosuję formy charakterystyczne dla listu. Być może ktoś wyobraża sobie siebie jako mówiącego, rozmawiającego – wtedy mógłbym zrozumieć to jego „witaj”.

Markowski Jak przez telefon.

Miodek Ale to pisanie i mówienie w sieci dynamicznie się wymieniają. Nawet jeśli z kimś łączą mnie oficjalne stosunki i zaczynam mejl od „Szanowny Panie”, a potem dostanę od niego natychmiastową replikę i chcę odpowiedzieć, to wtedy nie powtarzam tej formuły grzecznościowej, a z wymiany listów przechodzimy na dialog przypominający rozmowę.

Bralczyk U Stefana Themersona jest scena, kiedy to minister z premierem rozmawiają, każdą wypowiedź rozpoczynając od: „szanowny panie ministrze”, „szanowny panie premierze”. I tak sobie rozmawiają, czym dodają sobie nie tylko ważności. To tworzy też smak tej konwersacji.

Rzeczywiście, w przypadku pisania do siebie w internecie kluczowe jest nawet nie wyobrażenie sobie odbiorcy, ale wyobrażenie sobie czasu, który upływa między reakcjami.

Bralczyk Czas chyba trudniej sobie wyobrazić niż odbiorcę. A mówienie z pisanem ściga się od paru tysięcy lat. Oczywiście, my chcemy, aby to, co komunikujemy, dotarło do odbiorcy już teraz, nawet z najdalszej odległości, i żeby jeszcze długo się nie zacierało. Akurat internet nam to wszystko gwarantuje – słowo dociera niemal w tym samym momencie, w którym zostaje wysłane, odległości nie grają roli, a do tego zostaje zapisane.

Netykieta, przypominam, mówi m.in., że na mejl, choć niektórzy wolą mówić e-mail...

Markowski Ja mówię – mail.

Bralczyk Ja też i zapisuję to – mejl.

Miodek Tak, można już tak zapisywać.

...że na mejl należy odpowiadać w ciągu 24 godzin. Tymczasem chcę porozmawiać trochę o „witam”, które budzi spore emocje. Otóż, mam taką amatorską teorię, że o ile „szanowny panie” pochodzi bezpośrednio

z listów i ustawia korespondencję internetową jako bardzo oficjalną, o tyle mniej oficjalne „dzień dobry” jest dość dziwaczne, bo jednak nie wiemy, o jakiej porze dnia czy nocy nasz mejl zostanie odczytany. Stąd moim zdaniem wzięło się to „witam”, które ma być mniej oficjalne niż „szanowny”, ale niepowiązane z rankiem i przedpołudniem.

Markowski „Dzień dobry” jest stosowne o każdej porze.

Bralczyk A „witam” jest mówione; jest, można powiedzieć, rodzajem performatywu: mówię to, co robię, i robię to, co mówię.

Miodek Siedemdziesiąt procent programów telewizyjnych i radiowych tak się dziś zaczyna. Ja też mówię: „Dzień dobry, witam państwa”.

Bralczyk Gdy prowadziłem program w TVP Polonia, to nie bardzo wiedziałem, kiedy jestem oglądany, w Stanach byłem oglądany na przykład w nocy, więc mówiłem „witam”, ponieważ było neutralne.

Markowski Ale jednak mówiłeś: „witam państwa”, nie samo „witam”.

Miodek Ja również „witam” nigdy nie powiem, tylko „witam państwa”.

Markowski Słowo „witam”, przynajmniej w odczuciu naszego pokolenia, niesie ładunek pewnej wyższości. Ktoś, kto mówi „witam”, czuje się ważniejszy od kogoś, kogo wita. Młodzież tego nie czuje.

Bralczyk Kiedyś istniała forma – „kłaniam”.

Miodek A, było, było, i to bez „się”.

Bralczyk U Krasickiego jest taka ładna fraza: „To nasz ksiądz pleban”. „Kłaniam” (mówi Żona Modna) „Zmarszczył się dobrodziej”.

Miodek A grupa skiffłowa No To Co śpiewała: „...kłaniam, panie bracie”.

Bralczyk Dobrodziej się zmarszczył dlatego, że właśnie usłyszał z ust kobiety sygnał wyższości. „Kłaniam” było zdecydowanie dominacyjne. Trochę podobnie było z „witam”. Witam kogoś jako gospodarz, witam kogoś jako starszy. Miałem znajomych, którzy mówili: „witam”, i takich, którzy mówili: „witaj”. To „witaj” dawało trochę inną perspektywę.

Markowski I świadczyło o bliższych stosunkach, bo w „witaj” już wyraźnie zauważamy adresata, „witam” przelatuje nad jego głową.

Ośmielę się zaznaczyć, że jestem od znakomitych panów profesorów niewiele, ale jednak młodszy i przyznam, że w moim odczuciu, a także, wydaje mi się, w odczuciu osób młodszych ode mnie „witam” było słowem bez przydziału, resztką jakiegoś obyczaju, kompletnie zapomnianego. I nagle coś, o czym nie wiadomo było, do czego służy, zaczęło służyć do rozpoczynania mejli.

Bralczyk Krótka, wygodna forma, względnie neutralna pod względem czasu i niesugerująca zbyt mocno, czy mówimy, czy piszemy (choć dla mnie ona jest mówiona, ale dla wielu może być też pisana), łącząca się z zaangażowaniem osobistym, bo jest w niej pierwsza osoba, której nie ma ani w „szanowny panie”, ani w „dzień dobry”. A często myślimy, że jeżeli mówimy o sobie, to jesteśmy trochę uprzejmiejsi. Tak jak w: „przepraszam”, „pozdrawiam”, „gratuluje”. Te słowa są częścią pewnych zachowań ceremonialno-rytualnych, które angażują bezpośrednio. Stąd też „witam” miało dobry punkt wyjścia. Tyle tylko że w świadomości starszych ludzi było ono już jednak obsadzone w pewnej roli.

Ale „witam” jest też na tyle wygodne, że może równie dobrze odnosić się do pojedynczej osoby, jak i grupy, kiedy na przykład piszemy do wielu adresatów.

Miodek Trochę w tym racji jest.

Markowski A „dzień dobry” też na to pozwala.

Miodek Zawsze można zacząć: „Szanowny Panie”, „Szanowna Pani”.

Markowski P. T. Klienci – kiedyś było.

Bralczyk Pleno titulo.

Markowski Czyli – ze wszystkimi należnymi tytułami.

Miodek Z szacunkiem...

Ale dla mnie sto razy gorsze i świadczące o całkowitym braku słuchu językowo-obyczajowego jest: „dobra, dzięki”. Jeśli student przychodzi do mnie, żeby coś załatwić, i mówi: „dobra, dzięki”, to mam wobec niego mordercze skłonności.

Z KIM NA KOŁO I NA EGZEM

Zatem na „witam” panowie bardzo niechętnie patrzą.

Miodek Jeszcze ani razu w życiu nie napisałem „witam”.

Bralczyk Ale jeśli ktoś do ciebie tak napisał, nie potępieś go.

Miodek Nie potępiełem, ale znacząco mu odpisywałem „Szanowny Panie”. I śmieję się nieraz, że pisze do mnie dwudziestoletni chłopak, ja wiem, że młody, i on do mnie: „witam”, a ja mu na to: „Szanowny Panie”.

Markowski A on co potem?

Miodek Raczej dalej wita, ale zdarzało się, że przechodził na tę formę.

Bralczyk Przyszedł raz do mnie student na egzamin i od drzwi mówi do mnie: „witam”. To była już przesada i skrytykowałem go za to.

Miodek Tak jak mój zastępca. Przyszła do niego studentka i mówi: „Dzień dobry, panie doktorze, przyszłam na koło”. Zresztą on doskonale wiedział, po co ona przyszła. „Na co?” – „Na koło”. On jeszcze raz: „Na co?”. Więc ona troszkę zmiękła i chyba za czwartym razem w końcu powiedziała, że na kolokwium

„Koło” jako kolokwium?!

Miodek Tak. Jest „egzem” i „koło”.

Miodek Zresztą to „koło” jest całkiem w porządku, ale we właściwym kontekście: w jednej sytuacji życiowej używam więc „koło”, a w innej, na przykład rozmawiając z profesorem, jednak użyję „kolokwium”.

Bralczyk Znów używa się słowa „dekorum” (czyli „stosowność”), mówi się o nim także na różnego rodzaju szkoleniach z porozumiewania się. Ale te szkoleniowe instrukcje „stosowności” odbierają jej wszelki wdzięk. Nie chodzi o naturalne wyczucie decorum, tylko o zestaw nakazów i zakazów: trzeba się uśmiechać, życzyć dobrego dnia, pytać, czy można pomóc i tak dalej. Przez to, wydaje mi się, trochę się „odspontaniczniamy”.

Markowski Jest rzeczą ciekawą, że w ogóle trzeba mówić o decorum, że nie ma wrodzonego taktu. Może dawniej też nie było...